

# Drapieżcy

## Drapieżcy

### Rozdział III LIPIEC

Gęstą mgłę rozjaśniały od góry pierwsze promienie słońca. Lecz niżej, nad jeziorem, nadal panował półmrok. Ciężki i od wilgoci lepki. Powierzchnia wody zdawała się dymić wstającymi oparami.

Szarość spowijała również miejsce noclegowe bielika. Nie widział nic poza wierzchołkiem sąsiedniego drzewa. A i on, o rozmytych konturach, wynurzał się z mgielnego mętu rzadko.

Zwykle w takiej sytuacji birkut nie spieszył się z porannym lotem. Wiedział, że słońce rychło rozproszy mgłę i osuszy zwilgotniałe pióra. Jednak dziś zabrakło mu cierpliwości. Gnany wewnętrznym niepokojem wystartował już z wczesnymi oznakami świtu.

Warstwa mgły nie sięgała wysoko. Przebiwszy ją wlatywał wyżej, próbując odnaleźć prąd wznoszący. Mgła w dole przypominała teraz pofałdowane zwały świeżego śniegu. A białobure i postrzezione macki oparów nad łądem rozpraszał częściowo widoczny las.

Wpierw parł pod słońce, by wkrótce skrócić na północ. Dostrzeżone tam kumulusy obiecywały pionowy ciąg. I rzeczywiście, nie mylił się. Za północno-wschodnim skrajem lasu cieplejsza cyrkulacja powietrza utworzyła komin. Wstępujący prąd podbijał skrzydła od przodu, co umożliwiało szybowanie. swobodne i bez wysiłku. Mgła osłaniała tylko wodę i obszar przyjeziorny. Dalej widzialność rosła razem z intensywnością światła wschodzącego słońca. Bielik krążył więc w obrębie komina, całą uwagę skupiając na wypatrywaniu potencjalnych ofiar.

Niebawem selekcja została dokonana. O ile początkowo skłaniał się ku zaatakowaniu lisa, o tyle później, gdy ujrzał wśród łąk wzmożony ruch drobniejszych ptaków, zamiar natychmiast zmienił.

Swarliwie uczujące sroki, wrony i mewy zdradziły obecność padłego zająca. Łatwy do pozyskania łup gwarantował pożywienie natychmiastowe. Wystarczyło odpędzić lichą konkurencję.

Okazję posiłku wypatrzył również nadciągający od południa myszołów. Leciał niżej i byłby prędzej w pobliże uczujących dotarł, gdyby nie birkut, któremu przeciwstawić się nie chciał. Nie chciał i nie mógł, bowiem przeciwnik zdecydowanie przewyższał go siłą. A już sama wielkość majestatycznie kołującego bielika budziła w myszołowie respekt. Chcąc nie chcąc po chwili usunął się z drogi.

Ignorujący pojawienie się myszołowa birkut opadł na ziemię wolnym lotem ślizgowym. Pozostali skrzydlaci drapieżcy także odskoczyli na bezpieczną odległość, dopiero stamtąd pozwalając sobie na hałaśliwe protesty. Choć właściwie nie było przeciw czemu oponować. Nędzne resztki w postaci kilku rozwłóczonych kości i nadgryzionej głowy świadczyły o tym, że zając legł dawno. I obecnie pożywić się przy nim mogły co najwyżej chrząszcze grabarze.

Nowoprzybyły dziobnął dwa lub trzy razy pozbawiony części miękkiej zajączy łeb i bez wahania wzbił się nad łąkę, by po dłuższej serii uderzeń ociężałymi skrzydłami wrócić tam, skąd go poniosło. Wznowiona obserwacja otwartej przestrzeni pół niewiele dała. Wprawdzie wysledził jeszcze przemykającą skrajem lasu łaskę i kilka myszkujących wśród traw gryzoni, jednak zdecydował się

wrócić nad wodę. Zwłaszcza, iż wczesnoporanna bryza powoli spychała mgłę, kusząco odsłaniając zachodni brzeg jeziora.

Pas szuwarów opuściły perkozy. Zaabsorbowane poszukiwaniem żeru nie dostrzegły kołującego w górze bielika. Krążył dostatecznie wysoko. Szansa zaskoczenia siedzących na wodzie ptaków była spora. A właściwie duża, jeśli dobrze wykorzystać podczas natarcia obecność mgły. Birkut, oceniwszy sytuację, tak właśnie zrobił. Perkozy dostrzegły niebezpieczeństwo dopiero wówczas, gdy łowca w ostatniej chwili korygował lot, wynurzając się z mlecznych oparów. Owszem, zdołały umknąć, lecz tylko trzy z czterech. Młody ptak zwiotczał w szponach zaraz po wyrwaniu go z wody. Bielik, nabierając wysokości, skręcił ku wyspie.

Widoczność z wolna polepszała się. Słońce i bryza odsłaniała coraz większe połacie jeziora. A w rejonach zasnutych rzedającymi tumanami mgły tworzył się labirynt jaśniejących przesmyków. I właśnie w perspektywie jednego z nich ujrzał wkrótce ciemniejszy kontur drzew.

Cały czas towarzyszący bielikowi niepokój eksplodował nad wyspą rozzwierającym krzykiem. Zdobycz wypadła z rozwartych szponów. Gniazda nie było. Dębu nie było. Niczego w dole nie było; poza czarnym pogorzeliem.

Podobne reakcje powtarzały się od szeregu dni. Nie mógł pojąć, co spotkało samicę z młodymi. I za każdym razem, gdy do gniazda wracał, przykre wspomnienia robiły swoje: na nowo przeżywał ówczesny pożar oraz nagłe zniknięcie bliskich. Czuł, że stało się coś złego. Lecz wciąż odradzała się w nim nadzieja, że zagubioną rodzinę znajdzie. Wszak niejednokrotnie zdarzały się dłuższe rozstania. Choćby wtedy, gdy na zmianę z samicą polowali. Lub rozdzieliła ich nawałnica. Zatem może wystarczy cierpliwie szukać dalej.

Co też czynił. Jednak otuchę zaraz potem niweczyło kolejne rozczarowanie. Ochrypnięty od intensywnego nawoływania głos umilkł, a zmęczone skrzydła odmawiały posłuszeństwa. I nieuchronnie nadciągała apatia, spod władania której wydobywał się dopiero z przyborem odzyskanych sił.

Obecne kołowanie nad wyspą trwało krócej niż zwykle. Dodatkowo zdezorientowany mgłą wzleciał wysoko, by z góry rozejrzeć się za samicą. A szybując wołał. Lecz wciąż przyzywana partnerka milczała. Także młode nie odpowiadały, mimo iż ostry ton wołającego słyszano w promieniu wielu kilometrów. Gdy słońce ostatecznie rozproszyło mgłę zmęczony bielik przysiadł na gałęzi olchy. Mógł stąd obserwować północno-wschodnie zakole jeziora niegdyś ulubiony teren polowań samicy. Nieraz towarzyszył jej w wypadach na pobliski czapliniec. Często również tam się kąpała.

Pewien czas zabrało mu porządkowanie piór. Poprawiał je dziobem, kolejno odchylając to jedno, to drugie skrzydło. Wiercił się, przestępował z nogi na nogę, by powoli zapaść w letarg. Wśród niższych konarów przemknął jakiś gryzoń. Brzegiem jeziora biegała pliszka. Nieco dalej klaszczące uderzenia o wodę zwiastowały start łabędzia. Birkut rejestrował każdy ruch, ale z odrętwienia wyrwała go dopiero obecność intruza.

Niespodziewanie pojawił się Orlik grubodzioby. Zresztą nie po raz pierwszy. Już kiedyś przepłoszył bielikowi stado łysek w chybionym ataku na jedną z nich. Chwilowo wytłumiony niepokój birkuta ustąpił miejsca rozdrażnieniu. Owszem, potrafił znieść patrole błotniaka stawowego nad szuwarami, tolerował wszędobylskość rodzimych rybołówów, ale konkurencja obca? Natychmiast ruszył w pogoń.

\* \* \*

Szary włóczęga ślaniając się dotarł do brzegu i pólżąc zachłannie chłęptał wodę. Obserwujący tę scenę bielik, jakiś czas kołował jeszcze w pobliżu, by wkrótce obniżyć lot i przysiąść na wyschniętym konarze olchy.

Zachowanie wilka wyglądało nienaturalnie. W innych okolicznościach być może zainteresowałby się osłabionym czworonogiem. Lecz teraz brakowało mu do czatowania cierpliwości. I nie odczuwał głodu. Dręczyła go samotność. Powoli zaczynał pojmować, że samicy z młodymi nie zobaczy już nigdy. Daremnie szukał i nawoływał ich dzień po dniu. Ze szczególną mocą dotarło to do niego minionej nocy. A właściwie nad ranem, gdy się przebudził.

Zwykle nie śnił wiele. Tym razem jednak wspomnienie senne było wyjątkowo wyraźne. I dojmujące. Ujrzał ostatni lot godowy w zimowej scenerii. Gdy wspólnie z samicą wznosili się bardzo wysoko nad ziemię, krążąc wokół siebie z głośnym wołaniem. Podniecona samica przekręca się w powietrzu na grzbiet i wyciąga w jego stronę szpony. On chwyta je swoimi i tak złączeni opadają w dół ruchem obrotowym aż nad gniazdo, gdzie po kolejnym rozłączeniu i nagłym zwrocie znów wzbijali się w górę.

Takim właśnie obrazem rozbudzony natychmiast wystartował. Serce jego tłoczyło krew jak oszalałe. Zdecydowane uderzenia skrzydeł niosły go coraz wyżej i wyżej, aż... nadeszło opamiętanie. Bolesne, wtrącające w apatię. Wolno kołując zszedł nad wodę. W tym momencie nie chciało mu się nic. Huśtawka nastrojów jednak trwała. Gdy otrząsnął się, ponownie wyniosło go w powietrze. Niebawem wilk pijący wodę zmalał do rozmiarów sosnowej szpilki, a otoczone lasami jezioro ledwo przypominało kałużę. Północny powiew przyniósł zapach morza. Birkut skręcił pod wiatr.

Dawno nie opuszczał rejonu jeziora. Bo też nie było takiej potrzeby. Dostateczna ilość pożywienia gwarantowała pewne przetrwanie na miejscu.

W prostej linii jezioro od słonej wody dzieliło trochę ponad sto kilometrów. Dwie, może dwie i pół godziny aktywnego lotu - zważywszy na przeciwny wiatr. Bielik parł niestrudzenie, odruchowo korygując trasę przy każdym zmienionym podmuchu.

Na prawo od niego wstawało przymglone rozrzedzonymi chmurami słońce. Dołem wolno przesunęły się pola. Na ogół otwarte, choć często poprzecinane drobnymi ciekami oraz drogami. Od czasu do czasu mijał większy zagajnik lub wieś.

Wszystko to widział nie widząc. Przejściowo przyciągały wzrok jedynie ruchome obiekty, jak i on unoszące się w powietrzu: jerzyki, jaskółki, kobuzy oraz kołujące nad łąkami bociany. Dłużej obserwował krogulca, którego dopadło wędrowne stado szpaków. Chmara tak zwarła szeregi, że otoczony ze wszystkich stron zniknął w szczelnym kordonie. Zapach morza stawał się coraz silniejszy i wreszcie birkut dostrzegł na horyzoncie niebieskoszarą linię. Wkrótce linia przybrała rozmiary pasa, by w końcu przeistoczyć się w morski bezkres. Zmęczony długim lotem usiadł z rozpostartymi skrzydłami bezpośrednio na wodzie. Łagodnie kołyszące fale, znajoma woń oraz nawoływania mew szybko wprawiły bielika w stan odurzenia. Dłuższy czas nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje.

Tu spędził pierwsze pięć lat życia. Tu, przy krawędziach złodzeń, czatował niegdyś na zdobycz. Gnał za kutrami wybierającymi sieci, toczył walki z gromadą rybitw. Tu także poznał swoją samicę. Teraz przeszłość wracała. W ułamkach i przyćmiona upływem czasu. Niebawem otrząsnął się. Lekko wyniesiony w górę kolejną falą ujrzał wydrzyka zbierającego coś z powierzchni. Ożywiony uczuciem głodu wzbił się w powietrze. Lecz nie wydrzyk zaciekał. Skusiło duże zagęszczenie podekscytowanych mew - nieomylny znak wypatrzonej zdobyczy.

Krzyczące bractwo kłębiło się pod klifowym brzegiem. Bielik, nie bacząc na protesty,

bezceremonialnie je rozpedził. Wśród kamieni leżała martwa flądra. I to sporych rozmiarów. Jednak z posiłkiem należało się spieszyć, gdyż natręctwo rozeźlonych konkurentów było dosyć uciążliwe. Zuchwalsi potrafili wyrywać kąski wprost spod dzioba.

Wreszcie znękany nieustannymi atakami porzucił resztki zdobyczy. Może się nie najadł do syta, ale odzyskał spokój. Słońce stało już wysoko. Bryza ucichła. Wzleciał nad klif, by po krótkim kołowaniu przysiąść na korzeniach sosny. Podmyte drzewo zwisało z urwiska koroną w dół. Niemal pionowy piaszczysty stok kończył się przeszło dwadzieścia metrów niżej. Idealne miejsce do odpoczynku i obserwacji.

U podnóża klifu wciąż trwał ruch. Jedna z mew próbowała ująć z większym kawałkiem flądry, ciągnąc za sobą sznur czujnych współtowarzyszek. Ucieczka nie powiodła się wytrącony kasek spadł do morza. Nurkujące w ślad za nim najszybsze ptaki niemal ocierały się o siebie skrzydłami.

Bielik nie interesował się zamieszaniami w dole. Uporządkowawszy pióra znieruchomiał wpatrzony w horyzont. Trwający od rana niepokój częściowo zelżał. Wracaly również siły po wyczerpującym przelocie. W kilkanaście minut później zeskoczył z urwiska i nabierając prędkości poszybował wzdłuż nabrzeża.

Nieco dalej klif obniżał się, przechodząc w pasma wydm. Ich wzgórze, z rzadka porośnięte bylicą, wiodły ku zachodowi. Nagrzany południowym słońcem piach oddawał ciepło powietrzu. Orzeł czas jakiś wykorzystywał prądy wznoszące do nabrania wysokości. Na oczekiwanym pułapie przechwycił go północny wiatr. Skręcił w głąb ładu, zdecydowany wracać.

Teraz lot nie sprawiał już takich kłopotów. Niesiony równomiernym ciągiem szybował swobodnie i bez wysiłku. Lecz nie do końca. W połowie trasy zderzył się z południowoschodnim frontem. Napotkane masy powietrza były suche i cieplejsze od północnych. Nie dały się także ominąć. Szły zwartą ścianą, spychając wędrowca z kursu. Szybowanie musiał zastąpić lot aktywny. Ale i tak droga powrotna zabrała mniej czasu.

Będąc blisko jeziora znów poczuł głód. Spotęgowany jeszcze widokiem kobuza, który niósł w szponach przed momentem upolowaną jaskółkę. Śmigłoskrzydły łowca rozdzierał ofiarę w locie. Mały drapieżca - mała zdobycz. Bielika zadowolić mogło coś pokaźniejszego. Tedy uważniej przypatrywał obszar pod sobą. Potencjalnych ofiar kręciło się w dole sporo. Z torfowiska startował bekas. Nieco dalej przemykały rycyki i brodźce. Za lasem natomiast, przy zatoce, trzeczki prowadziły swoje młode. Cóż, skoro odkrywano jego obecność, zanim w ogóle jakikolwiek atak okazywał się możliwy. Zaś kaczkę podniosły taki rwetes, że ostrzeżone ptactwo wodne, łącznie z perkozami i traczami, rychło zniknęło wśród oczeretów.

Nie zrażony tym birkut zszedł nisko nad wierzchołki drzew, powoli sunąc w stronę czaplińca. Zamierzał starym sposobem ześliznąć się z linii lasu w prześwity trzcin i spróbować zgarnąć którąś z młodych i mniej ostrożnych czapli. Ten sposób polowania zwykle w co drugim podejściu wieńczyło powodzenie. Szczególnie teraz, gdy młodociane osobniki przyuczały się do samodzielnego żerowania na skrajach płycizn.

\* \* \*

Rozbudzony hałasem bielik zeskoczył z noclegowego drzewa i poszybował nad zatokę. Nim tam dotarł, panika prawie ustała. Jedynie tu i ówdzie ujrzał jeszcze znikające w trzcinach kupry kaczek. Na cypel, otrząsając sierść z wody, wyszedł wilk. Birkut ściągnął nadgarstki i zniżył lot, by dokładniej przyjrzeć się czworonogowi, u którego stóp leżała martwa krzyżówka. Znów ten sam intruz! Nie

dość, że noc zakłócał irytującym wyciem, to jeszcze urządza polowania w jego rewirze!

Takiej prowokacji orzeł darować nie mógł. Lecz nie dane mu było dobranie się do skóry włóczęgi. Basior, trafnie odczytując zamiary birkuta, czmychnął z upolowaną kaczką w przybrzeżne krzaki.

Pomarańczowa kula słońca dopiero dźwigała się nad horyzont. Mimo wczesnej pory już było ciepło, Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Krążący wzdłuż obrzeży zatoki bielik przeskoczył krawędź lasu niemal muskając lotkami wierzchołki drzew. Coś pociągnęło ku torfowiskom. Dawno nie odwiedzał północnej strefy. Być może tam właśnie czeka pierwszy posiłek.

Mokradła rozczarowały. Nie znalazł nic godnego uwagi, poza derkaczem zaskoczonym z niskiego lotu, który, zresztą i tak umknął w gęste zarośla. Zamieszanie podpatrzyła czajka. Jej ostrzegawczy krzyk poderwał ukrytą niedaleko pliszkę oraz bekasa. Drapieżca, ostatecznie zniechęcony jeszcze głośniejszym zachowaniem drugiej czajki, wyniósł się na wschód. Chwilami brakowało mu cierpliwości. Liczył na łatwą zdobycz. A skoro taka okazywała się nieosiągalna zmieniał rejon polowania. Lato wystawiało pod dziób i szpony wiele potencjalnych ofiar. Nie wspominając o padlinie, czy też posiłkach odbijanych innym łowcom.

Wstępujące prądy powietrza dźwigały birkuta coraz wyżej.

Niebawem, osiągnąwszy pożądany pułap, skręcił w stronę jeziora. Ono nigdy nie zawodziło. Przepatrując obrzeża wody ustalił trzy cele: młodocianego tracza, łyską i nurkujące w pogoni za rybami kormorany. Samotny tracz kusił na równi z łyską, która wydawała się osłabiona. Cóż, rozterkę w doborze ofiary rozwiały one same.

Tracz zniknął w trzcinach, łyska pod wodą - nim zdążył do powierzchni zejść. Zostały jedynie czarne ptaki. Wyrównał lot przemykając wzdłuż szerokiego pasa trzcin na południe. Kormorany polowały dużą grupą. Może natrzeć zniecka, jeśli tylko uda mu się manewr z wykorzystaniem osłony wiatrołomów. Przeskoczył zatem oczerety i sunąc nisko nad powalonymi sosnami znów skręcił ku wodzie.

Prawie się udało. Gdyby nie przypadkowa czapla z płycizny. Ukryta w trzcinach pierwsza zobaczyła zagrożenie. Jej energiczny zryw zaalarmował czarne ptaki. Gdy nadleciał, większość już była w powietrzu. Nieco zdezorientowany ciasnym zgrupowaniem uciekinierów zawahał się i zwolnił.

Spod wody, wyskoczyli jeszcze dwaj maruderzy, pośpiesznie przed startem wypluwający dopiero co upolowane ryby. Birkut zrezygnował z uciążliwej pogoni, zadowolając się odrzuconym łupem. Wśród pokaleczonych, lecz nadal żyjących ofiar kołysały się między innymi spore płocie oraz węgorz - gruby, blisko półmetrowej długości. I właśnie jego zgarnęły orle szpony.

Śliska ryba ożywiła się w powietrzu. Nawet mocno zaciśniętym palcom trudno było ją utrzymać. Nie przerywając lotu bielik schylił głowę. Lecz pochwycenie zdobyczy dziobem tylko na moment oddaliło kłopoty. Węgorz wił się, mimowolnymi ruchami co rusz oplatając to łeb, to szyję. Z przykrew sytuacji wybawił birkuta dopiero ład. Usiadłszy na powalonej sośnie przydeptał rybę nogą, by w końcu dobić. Ciosy dzioba szybko rozplatały węgorza; Połykał duże fragmenty łapczywie i bez rozdrabniania. Równie pożywne kąski trafiały się rzadko. Resztę porzuconych przez kormorany ryb uprzętnęły w międzyczasie mewy. Bielika niewiele to obeszło. Zasycony tłustym daniem wzbil się kilkadziesiąt metrów i poszybował na północ. Tamtejsza strona jeziora bardziej mu odpowiadała. W każdym razie chętniej tam wypoczywał.

Jednak przelot opóźniło paprząsko. Akurat mijał wyspę. W prawdzie wciąż w nim tkwiły wspomnienia

pożaru lecz obecna chęć pozbycia się pasożytów piór przeważała. Trochę nieufnie okrążył czarny kikut dębu i usiadł na łasze obok.

Przyjemność piaskowej kąpieli zmąciły zapachy. Nagle wydało mu się, że złowił nie zwietrzałą jeszcze woń spalenizny. To wystarczyło. Zerwał się z bijącym sercem i natychmiast wystartował, byle dalej od źle kojarzącego się zapachu.

Będąc nad cyplem ulubionej zatoki zszedł niżej. Uschniętą gałąź olchy, na której przysiadł, ocieniały odrosty sąsiednich konarów. Wtopiony w tło mógł jednocześnie obserwować stąd dużą część jeziora.

Ucieczka z dawno nie odwiedzanej wyspy trochę rozstroiła bielika. Szukał uspokojenia w starannym uporządkowaniu piór. Czynność ta, trwająca dłużej niż zwykle, pochłonęła go całkowicie. A skończywszy znieruchomiał zapatrzony w dal. Wspólnie z przesuającym się cieniem drzewa zmieniały miejsce muszki. Ich monotonna wirująca chmara, podstawą sięgając trzciny nie wychylała się poza obręb kolumny. Ucichło. Rosnący, skwar zniechęcał do jakiegokolwiek aktywności. Nawet grążyce ukryły się w oczeretach. Pewien ruch można było dostrzec tylko na zachód od wyspy, wśród gaszących pragnienie jaskółek. Raz po raz kolejna zniżając lot, muskała wodę szeroko rozwartym dziobem.

Gdy słońce stanęło w zenicie, zniknęły i jaskółki. Wysoka temperatura spędziła birkuta na płyciznę. Długo taplał się, wymachiwał skrzydłami i otrząsał z wody, studząc przegrzane ciało. Potem wrócił na olchę, by osuszyć i znów uporządkować rozwichrzone pióra. Cień już nie krył dotychczasowego stanowiska. Bielik przeszedł na sąsiedni konar. Teraz, osłonięty gęstwą liści poczuł się znacznie lepiej. Wysoko nad horyzontem pojawiły się pierzaste chmury. A wkrótce spadło ciśnienie. Zerwał się też lekki wiatr. Co żyło, z niecierpliwością wyglądało deszczu.

Lecz pierwsze jego krople, duże i ciężkie, rozbębniły się dopiero późnym popołudniem. Zaś spodziewaną większą ulewę rychło zastąpiła mżawka. Rzednąca razem z pierzchającymi chmurami. Mimo wszystko przejściowa zmiana pogody rozruszała mieszkańców jeziora. Z szuwarów wystartował ślepowron. Opuściły trzciny główienki i tracze. A w ślad za nimi perkozy, łyski i łąbędzie. Raptem zrobiło się gwarno. Orzeł poczuł głód. Rozpostarłszy skrzydła poszybował w łuk blednącej tęczy.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

**Lech M. Jakób**

Powieść przygotowywana jest do druku przez oficynę wydawniczą MULTICO.